

Zbyt długa gra w szachy - Prolog — Daniel Kurowski 1

Od autora: Na gruzach ongiś potężnego imperium cztery obce sobie narody próbują odbudować dawną potęgę kraju. Młody cesarz zawiera niebezpieczny sojusz, który przyniesie za sobą niewyobrażalne konsekwencje. Potomek starożytnego ludu wyrusza w niebezpieczną podróż po kontynencie podziwiając ruiny dawnej cywilizacji. Dawne zagrożenie budzi się do życia, a zapomniani bogowie ustawiają swoje pionki na szachownicy.

PROLOG

Eksploratorzy pędzili konno przez śnieżny krajobraz Fraycji już od trzech dni. Dwa księżyce i tysiące gwiazd świeciło wysoko nad ich głowami. Dwudziestoletni eksplorator Anwill odwrócił się na chwilę i ujrzał niebieskawą zorzę polarną, która przykuła jego wzrok. Nigdy w życiu nie widział niczego tak pięknego. Odwrócił głowę i skupił się podążaniu za na nieco starszym przewodnikiem ekspedycji, Oweinie. Przez mocno padający śnieg widział jednak jedynie jego ciemnozieloną pelerynę i brązowe buty. Czuł się przy nim bezpiecznie, chociaż ciągle czuł, że Strażnicy Świątyni zaraz ich dogonią i zabiją.

Jeszcze kilka mil i znajdą się w granicach Sklavinii. Wtedy strażnicy przestaną ich ścigać, gdyż klątwa nie pozwala im opuścić obszaru Fraycji. Jeszcze chwila i będą całkowicie bezpieczni. Czuł, że Księga Starożytnych schowana w jego plecaku podskakuje w rytm cwału konia i uderza w jego plecy. Anwill nigdy nie czuł takiego obowiązku, jak teraz. Dostarczenie artefaktu Cesarzowi Aelarowi było najpoważniejszą misją jaką mógł dostać eksplorator. Chłopak nie wiedział, dlaczego Owein zdecydował, że to on będzie nieść księgę.

Kilku innych eksploratorów jechało tuż za nim. Oni też trzymali w plecakach wszelkiego rodzaju notatki i papiery Starożytnych. Były one jednak o wiele mniej cenne, niż księga. Anwill w myślach wyobrażał sobie, jak dostarcza ją Cesarzowi. Wyobrażał sobie ucztę przygotowaną na ich cześć. Pieczoną kaczkę i świnie, gulasz, świeży chleb, ciasta, wino. Od dwóch tygodni jedli tylko suchy chleb i twardy ser, który popijali zimną wodą. Jednak pochwała cesarza, uczta i nagroda nie były dla niego najważniejsze. Najważniejsze było dla niego uznanie ojca. Anwill zawsze czuł się niedoceniony, a ojciec zawsze mu powtarzał, że do niczego się nie nadaje. Jednak teraz wypełniał specjalną misję dla samego Cesarza. Ojciec w końcu byłby z niego dumny, a dzięki nagrodzie nie musieliby harować godzinami na polu, żeby mieć za co żyć.

W końcu ujrzeli wielki szkielet Tytana - jednego z upadłych bogów - opartego na samotnej górze. Granica ze Sklavinia. Anwill wreszcie odetchnął z ulgą. Zaraz będą bezpieczni. Jeszcze tylko kilka chwil. Wtedy będą w Sklavinii, a potem tylko niecałe dwa tygodnie spokojniej drogi i będą w Cesarstwie Alaven oraz w złotym mieście Aramoor. Najpiękniejszym i największym mieście świata.

- Nie zwalniać! - krzyknął dowódca. - Zaraz miniemy granicę ze Sklavinia i tam zrobimy postój. - Musimy dać radę.

Słowo postój dla większości było wybawieniem i ulgą. Byli zmęczeni, głodni i niewyspani. Chcieli, by to się wreszcie skończyło. Niektórzy nawet żalowali, że zgodzili się na tę misję. Zazwyczaj eksploratorzy przeszukiwali ruiny na terenie dawnego Imperium Roemii. Zawsze były opuszczone i zniszczone. Jednak świątynię we Fraycji zajmowały jakieś dziwne moce, które wybiły połowę ekspedycji, zanim znaleźli bibliotekę.

Nagle Anwil usłyszał krzyk i coś ciężkiego spadło na ziemię. Morrys i Pord, którzy jechali tuż za nim padli martwi. Leżeli twarzami w śniegu, a z ich pleców wystawały strzały. Torba z notatkami leżała tuż obok ich ciał. Następnie strzały dosięgły innych członków ekspedycji, którzy jechali na samym końcu. Wszyscy zginęli.

- Nie zatrzymywać się! - krzyczał Owein. - Już prawie jesteśmy!

Anwill znów się obejrzał i zobaczył, że z tyłu nikogo już nie ma. Był tylko on sam z dowódcą. W zamieci śnieżnej widział kilka par świecących czerwonym blaskiem oczu. Strażnicy byli coraz bliżej.

Kolejna strzała wbiła się w ziemię tuż obok konia chłopaka. Następna spadła z drugiej strony. Chłopak zauważył, że lotka strzały dymiła. Musiała być nasączona czarną magią.

Owein zaczął zwolniać i zrównał się prędkością z chłopakiem. Z ust mężczyzny leciała para.

-Będziesz musiał sam zawieźć księgę Cesarzowi - powiedział Owein, podając Anwillowi swoją torbę. - Do stolicy dojedziesz cały czas trzymając się brzegu Orlicy. Wtedy przejedziesz przez Krwawy Most i będziesz na trafi prowadzącej do miasta. Mój koń nie może dalej jechać. - mężczyźni zaczęli łamać się głos. Wiedział, że jego koń zaraz całkiem opadnie z sił. - Kupię ci trochę czasu, Anwill. Dasz radę...

Nie zdążył dokończyć, gdyż kolejna strzała trafiła jego konia, przewracając ich oboje. Młody eksplorator patrzył na zajście z przerażeniem w niebieskich oczach. Dowódca leżał pod ciężarem konia i próbował się wydostać.

- Nie waż się zatrzymać! - krzyczał. - Dowieź księgę Cesarzowi...

Nad Oweinem pojawiły się dwie wysokie postacie. Jeden z nich silnym ruchem odrzucił konia na bok. Drugi złapał go za szyję, miażdżąc mu gardło. Owein wydawał z siebie zduszony dźwięk, a potem ciszę przerwało głośnie pęknięcie. Strażnik upuścił bezwładne ciało ekspedytora i popatrzył się za Anwillem.

Chłopak zaczął modlić się w duchu do wszystkich bogów, jakich znał. W końcu minął słupy graniczne ze Sklavinią, głęboko wzdychając. Zatrzymał konia i odwrócił się. Przy kamiennych słupach stało kilka wysokich postaci, które trzymały czarne łuki. Dzięki bogom, nie mieli już strzał. Byli nienaturalnie wysocy, ich skóra była niebieska i do tego pokryta runami, które wyglądały jak głębokie blizny. Włosy i brody mieli całkowicie białe. Nikt z eksploratorów nie wiedział jaka to rasa i czym tak dokładnie są ci Strażnicy Świątyni. Istoty posłały mu ostatnie spojrzenia świecących oczu. Potem rozplynęły się jak mgła.

Anwill zsunął się z konia nie mogąc utrzymać równowagi. Był tak przerażony, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Leżał tak kilka chwil i patrzył w niebo. W oddali znów zobaczył niebieską zorzę.

Nie mógł uwierzyć, że tuż przed granicą stracił wszystkich przyjaciół, których traktował jak swoich braci. Z drugiej strony dziękował bogom, że udało mu się przeżyć. Limit jego szczęścia został już chyba wyczerpany.

Krajobraz Sklavinii diametralnie różnił się od tego we Fraycji. Nie było tu śniegu oraz gołych skał i lodowych pustkowi. W oddali zobaczył las, w którym rosły wysokie sosny. Wokół niego rosła gęsta trawa z krzakami, która kończyła się przy słupach granicznych. Zupełnie jakby znalazł się w innym świecie.

Gdy czuł, że robi mu się coraz zimniej, wstał i zdjął swój plecak wyciągając z niego księgę. Było to grube

tomiszcze obite brązową skórą, na której były wyryte nieznane mu litery. Schował ją z powrotem do plecaka, w którym miał resztki jedzenia i bukłak z wodą. Wspiął się na konia i ruszył dalej.

Posłał ostatnie spojrzenie Tytanowi, którego szkielet siedział oparty o górę. Wyglądał jakby był z nią zrośnięty. Jego puste oczodoły spoglądały w stronę Fraycji.

- Mam nadzieję, że już nigdy się nie zobaczymy - powiedział do siebie Anwill i ruszył w stronę gęstego lasu.

Czekała go jeszcze długa droga do stolicy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DanielKurowski1, dodano 04.02.2018 22:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.